W WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 17 maja 1942 r. Rok III Nr. 18 (395)



TATRY

TREŚĆ NUMERU

Polska a Słowiańszczyzna południowa	*Walerian Kwiatkowski*
Odpowiedzialna służba polskich lotników na Śr. Wschodzie	*Wacław Sikorski*
Czy Niemcy użyją gazów bojowych?	*Antigasus*
Paczki dla jeńców	
Naszymi drogami — Przez Saharę (ciąg dalszy)	*Jerzy Kijewski*
Od Redakcji	
Kronika W.P.Ś.W.: Wizyta Naczelnego Dowódcy Wojsk Sprzymierzonych w Palestynie i Transjordanii w oddziałach W.P.Ś.W. Wysokie odznaczenia polskie dla generałów brytyjskich.	
Niemcom — Wiersz	*Jan Olechowski*
Nowi „Kawalerowie Maltańscy" (Tygodniowy przegląd wydarzeń)	*D. I.*
Filmy Obozowe: „1000 Słów po Afrykańsku"	*Mr.*
Zawody Sportowe	
Humor	
Jeszcze jedna przepowiednia	
Zawiadomienia Sekcji O. i K.	



Uroczystość 3 Maja w m. p. Dywizji Karpackiej: gen. dr. J. Zając przed frontem oddziału kobiet przybyłych z Z.S.R.R.

Wydano nakładem Sekcji Oświaty i Kultury Dtwa. W. P. na Śr. Wschodzie. Adres Redakcji i Administracji: Polish Forces in Middle East Egypt — Cairo. Drukarnia Azriel, Tel-Aviv, Raanan 22.

KU WOLNEJ POLSCE

TYGODNIK WOJSKA POLSKIEGO NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

M. p. niedziela, 17 maja 1942 r. **Rok III Nr. 18 (395)**

WALERIAN KWIATKOWSKI

Polska a Słowiańszczyzna Południowa

Tematu tego nie da się wyczerpać w jednym artykule. A nasuwa się on przecie sam, gdy już niektóre narody słowiańskie spontanicznie ku nam się garną, gdy dochodzi do umowy polsko-czeskiej, wiążącej dwa te narody w związek konfederacji, gdy sympatie Jugosłowian ku nam są niekłamane a bardzo wyraźne itp.

Zacznijmy od najdalej leżących od nas ziem słowiańskich, od tych obcych nam znacznie kulturą, bo zaczerpnęli ją w przeszłości z Carogrodu, podczas gdy myśmy związali się z Rzymem, od tych odciętych od nas przez Węgry i Austrię. Zacznijmy od południowej Słowiańszczyzny, najmniej z nami związanej. Czy węzły, które w obecnym momencie między nami a nimi zadzierzgają się, są jedynie rezultatem współczesnych wypadków dziejowych, czy też może kiełkuje dziś ziarno przyjaźni i wspólnej a wzajemnej życzliwości, rzucone w glebę dziejów ręką dawno minionych już dni?

Opinia nasza niedostatecznie zdaje sobie sprawę, że zachodzi właśnie ten drugi wypadek.

Przez długi czas pomiędzy nami a Słowiańszczyzną południową wspólnej granicy nie było. Wobec tego nie mogło także być kontaktów, wzajemnego współdziałania, wpływów czy bratniej pomocy.

Nadchodzi wszakże chwila, kiedy władca Polski zasiada równocześnie na tronie węgierskim i granicami dosięga granic Turcji, panującej nad Serbami oraz Bułgarami. Władcą tym jest Władysław, zwany Warneńczykiem. O jego klęsce pod Warną, której pośmiertny swój tytuł zawdzięcza, wie dokładnie nawet dziecko polskie. Niestety, stosunkowo znacznie mniejsza liczba należycie uświadamia sobie, iż o rok wcześniej, w roku 1443, Władysław odnosi nad Turkami wspaniałe zwycięstwo, granice węgierskie rozszerza, wcielając w nie znaczne połacie, zamieszkane przez Słowian Południa, a wtedy jako król Węgier, wydaje specjalny dekret, którym równa duchowieństwo obrządku wschodniego w jego prawach i przywilejach z duchowieństwem rzymsko-katolickim.

Przy ówczesnych poglądach na świat zrównanie w prawach duchowieństwa wiodło do zrównania w prawach również i ludności. Węgrzy nie byli wyznawcami obrządku wschodniego. Już za czasów Stefana Wielkiego, więc jeszcze w X-tym wieku, związali się z Rzymem. Dla kogóż więc te przywileje, to rozszerzenie praw, jeżeli nie dla Serbów i Bułgarów? O jaką ludność, o czyje wyzwolenie Władysławowi chodzi, gdy walkę z Turkami wszczyna, jeżeli nie o Słowian południowych...

Inny znów przykład, który choć w praktyce nie wyszedł z dziedziny marzeń i zamiarów, niemniej stanowi charakterystyczny dowód naszych zainteresowań się dolą współbraci z południa, — to kroki, które w w. XVII poczynił nasz Władysław IV, kiedy planował wyprawę na Turcję. Wzywa on wtedy do siebie — w trosce o stałą i dostateczną armię — przedstawicieli Kozaków, a zachęcając ich do wstąpienia w szeregi bojowe, przypomina, że gdy to uczynią, pośpieszą z pomocą południowym swym pobratymcom, związanym z nimi, jak podkreśla, i krwią, i wspólną wiarą. Kogóż na myśli ma król, wypowiadając te słowa, jeśli nie Serbów i Bułgarów...

Wniosek stąd oczywisty, że gdy tylko mogła, gdy pozwalały na to stosunki międzynarodowe, nawet i o dalekich, odległych, wspólnej z nami granicy pozbawionych Słowianach — Polska nie miała zwyczaju zapominać. Nawet w dobie niewoli i pognębienia naszego nie przestali nas interesować współbracia nasi z południa. Wystarczy wspomnieć dla przykładu bogatą twórczość literacką naszego T.T. Jeża (płk. Zygmunta Miłkowskiego) i popularność, jaką cieszyły się jego powieści w społeczeństwie polskim, by zorientować się, jak musiały nieraz bić szczerym wzruszeniem polskie serca przy zapoznawaniu się bliższym z bohaterskimi zmaganiami się o wolność południowych pobratymców naszych. Wpływało to na nas krzepiąco, ale z drugiej strony specjalne zainteresowanie się Miłkowskiego tym właśnie, nie innym terenem świadczyło najwymowniej o sympatii naszej ku mieszkańcom tamtych właśnie ziem....

Płynęły lata. Przyszło najpierw dla nich, później i dla nas wyzwolenie. Chociaż niedługi, okres niepodległego bytu zrobił jednakże wiele w tym kierunku, aby nasze odległe, lecz bratnie kraje związać. A kiedy przyszła doba zmagań wojennych, Serbia, tak właśnie, jak my bogata w literackie epos historyczne i w losy, których epos to jest jak najszczerszym odbiciem, poszła za naszym wzorem w ofiarnym przeciwstawieniu się brutalnej przemocy wroga, Bułgaria zaś, jeżeli się ugięła, to w swych przywódcach, nie zaś w całości narodu.

Nadejdzie czas — tak logika powiada, a raczej nie nadejdzie, ale już nadchodzi, kiedy dłoń naszą, którąśmy w XV czy też XVII w. ku Słowianom południowym wyciągali, pochwycą oni i szczerze, bratersko uścisną, i wspólnie z nami swoje wysiłki połączą w twórczej pracy dla dobra ludzkości.

Ziarno, rzucone w glebę dziejów, nie zamiera. Czasem tylko bardzo długo trzeba czekać, zanim zakiełkuje. Ziarna, rzucone przez naszych Władysławów, niedługo stać się mogą kłosem, pełnym dalszych ziaren....

A może już się nim stały....

Odpowiedzialna Służba

Polskich Lotników na Środkowym Wschodzie

Nie ma dziś zakątka na kuli ziemskiej, gdzieby nie czytano czy słyszano o bohaterskich wyczynach polskich lotników w czasie toczących się w tej wojnie walk powietrznych.

Bardzo mało jednak wiemy o wysiłku, jaki lotnicy nasi wkładają w pracę poza frontową.

Niedawno podana została do wiadomości publicznej krótka informacja, mówiąca o działalności polskich lotników na Środkowym Wschodzie. Powiedziano w niej m.in., że praca ich polega w pierwszym rzędzie na dostarczaniu maszyn bojowych do linii, że przetransportowali już wiele setek samolotów, że przemierzają olbrzymie przestrzenie w ciężkich nieraz warunkach klimatycznych ponad puszczą afrykańską i bezbrzeżnymi a bezludnymi połaciami pustyni. Lakoniczna ta wiadomość nie daje jednak pojęcia o olbrzymich trudnościach, a jakże często niebezpieczeństwach, grożących pilotowi.

Na podstawie uzyskanych, źródłowych informacji postaram się scharakteryzować pracę naszych dzielnych lotników.

W lotach bojowych głównym celem jest spełnienie zadania, bez względu na to, jakim kosztem silnika czy całego samolotu, zostało ono osiągnięte. Tu jest wprost przeciwnie; chodzi przede wszystkim o to, aby maszyna dostarczona była w jak najlepszym stanie, z silnikiem nienaruszonym przez nieekonomiczne zużycie. Dopiero po wypełnieniu tego warunku zadanie jest spełnione.

Wymaga to dokładnej znajomości obchodzenia się ze sprzętem i drobiazgowej staranności. Zadanie jest tym trudniejsze, że lotnicy nasi dostarczać muszą przeróżne typy samolotów angielskich i amerykańskich. Muszą to więc być ludzie w swoim zawodzie wytrawni i doświadczeni. Dlatego też grupa polska na Środkowym Wschodzie została dobrana z pośród „weteranów“ polskiego lotnictwa. Poważny ich odsetek — to piloci z poprzedniej wojny, którzy walczyli na wszystkich ówczesnych frontach, lub byli pionierami naszego lotnictwa w okresie powojennym. Są między nimi i instruktorzy, przez których ręce przeszli dzisiejsi polscy bohaterowie obrony lotniczej Londynu, są też i piloci komunikacyjni oraz oblatywacze fabryczni — słowem „stara wiara“ lotnicza, dobrze już z powietrzem otrzaskana.

Niełatwe miałem zadanie, by od tego typu ludzi dowiedzieć się szczegółów ich pracy i poznać ich trudności.

Pamiętamy, jaką sensacją był dla nas pierwszy polski lot nad Afryką. Jeszcze na krótko przed wojną wyczyny lotnicze nad kontynentem afrykańskim szeroko komentowano w prasie całego świata.

Dziś przeloty takie zostały sprowadzone do rzędu zjawisk normalnych. Przyczynia się do tego olbrzymi rozwój techniki lotniczej i rosnące niemal z każdym dniem wymagania wojny.

Nie znaczy to jednak, aby przeloty nad Afryką były pozbawione trudności i odbywały się bez ofiar. Mówią o tym najlepiej groby polskich lotników, rozsiane na całej długości trasy przecinającej kontynent Czarnego Lądu.

Orientacja nad olbrzymimi połaciami pustyń, gdzie nie ma dróg, rzek, czy też punktów charakterystycznych nie należy do rzeczy łatwych, zabłądzenie zaś grozi przymusowym lądowaniem na terenie, który rzadko do tego się nadaje, i grozi zupełnym brakiem wody, głodem i niechybną zgubą. Tym czyhającym niebezpieczeństwom zapobiega się przez system konwojów, gdzie kilka samolotów leci za samolotem prowadzącym, t. zw. „leaderem“, na którego barki spada odpowiedzialność za trzymanie się wytkniętej trasy i osiągnięcie lotniska, tego jedynego punktu wśród pustych, bezludnych niemal przestrzeni, gdzie samoloty mogą bezpiecznie wylądować, a na pilotów czeka schronienie i gdzie mogą się udać na zasłużony wypoczynek.

Jednym z wrogów lotnika, pracującego na terenie afrykańskim jest żar idący z pustyni. Temperatura w Afryce jest nietylko problemem wytrzymałości fizycznej pilota, który się formalnie smaży w samolocie nagrzanym przez słońce na lotnisku, a kostnieje na wysokości 15.000 stóp — temperatura jest przede wszystkim problemem dla silnika, który się przegrzewa, „zdaje“ obroty, przerywa, zaciera, a nie daj Boże i zapala. Wymaga to stałego napięcia uwagi i bezustannej kontroli.

Zdarzają się w pewnych okresach roku takie wypadki, że gdy pilot wsiada w południe do maszyny i nieopatrznie dotknie gołym udem ściany samolotu — spali sobie dosłownie skórę. Raptowne skoki temperatury powodują, że nie wiadomo, jak się ubierać, bo np. w dzień gorąco piekielnie, a nocą marznie się i pod trzema nawet kocami.

Ileż to nieporozumień powoduje znane w pustyni afrykańskiej atmosferyczne złudzenie, t.zw. „fata morgana“. Pilot przygotowuje się np. do lądowania, wie bowiem, że za chwilę ujrzeć ma lotnisko — a tu nagle przed oczyma jego ukazuje się bezbrzeżne jezioro, budynki i hangary stoją w wodzie. Oczom wprost nie wierzy. Innym razem widząc na lotnisku wodę, sądzi, że to „fata morgana“ i ląduje na pewnego. W rzeczywistości napotyka na kałużę, bo niedawno przeszła tędy nawałnica. Podobnych niespodzianek jest wiele na afrykańskiej trasie.

Na pustyni obowiązuje specjalna etyka lotnicza — prawo niepisane, jednak ściśle przez wszystkich przestrzegane.

Jeśli jakaś maszyna zaginie — to szuka jej cały konwój. Gdy komuś się zdarzy przymusowe lądowanie, to konwój leci dalej do najbliższego lotniska i stamtąd organizuje natychmiastową pomoc.

Bywają wypadki, że maszyna wyląduje gdzieś w puszczy afrykańskiej. Zdawało by się, że poszukiwania będą niesłychanie trudne. Nadlatuje pomoc i nie upływa zbyt wiele czasu, a samolot się znajduje dzięki Murzynom, którzy na swych bębnach, zwanych „tam-tamami“ tak długo dają znać, dopóki załogi „wielkich“, — jak mówią Murzyni, — „ptaków“ nie nawiążą z nimi kontaktu. Wśród prawdziwego grzmotu bębnów podbiega półnagi Murzyn, wrzeszcząc na całe gardło, że jeden „mały ptak“ i jeden „duży ptak“ wylądowały w „buszu“ (las) o dwie godziny drogi. Owe „tam-tamy“ to niczym najlepsze radio i oddają lotnikom nieocenione usługi w puszczy afrykańskiej.

Różne gady i robactwo nie należą bynajmniej do rzeczy przyjemnych. Jedzie się np. samochodem z lotniska do domu noclegowego, a tu spod siedzenia wyłania się wielki, niczym rak skorpion. Przychodzi się do klubu, chce się usiąść na krześle, a ono okazuje się zajęte ni

mniej ni więcej tylko przez najbardziej jadowitego węża, który najspokojniej przygląda się przybyszom. Nadlatuje „boy" i likwiduje gada.

Jest pewien rodzaj much afrykańskich, które na ciele ludzi składają swe jajka. Taki nieproszony lokator przez czas dłuższy przebywa w ludzkim ciele i trzeba go przymusowo hodować do chwili, kiedy podrośnie i sam się usunie.

A malaria, jakże nieraz daje się we znaki!

Jeśli chodzi o charakterystykę samych przelotów, to często odbywają się one wśród zwałów chmur, grubych niekiedy na kilka tysięcy metrów, to znów wlatuje się w burzę piaskową, połączoną z wichurą, niosącą z pustyni masy żółtego piasku.

Wszystko jedno, czy burza taka zwie się „hamsin", „hoboob", czy „harmattan" — jednakowo jest groźna dla lotnika, utrudniając niesłychanie trzymanie się kursu. Ominąć jej nie sposób, uciec trudno, a wówczas powstaje dylemat: czy zawrócić do lotniska, czy też iść przebojem?

Jeden z lotników naszych tymi słowy opowiada swą przygodę:

— Po blisko dwóch godzinach lotu wśród gwałtownej burzy piaskowej usiłujemy przebić się ponad otaczające nas góry. Patrzę na zegar — lecimy na wysokości 12 tys. stóp.

— I o dziwo! W krainie, gdzie od 5 lat nie widziano kropli deszczu, garstka polskich pilotów spotyka się z fenomenem natury: oto spada obfity deszcz, deszcz koloru czerwonego, pokrywając całkowicie czerwoną barwą szyby samolotu, paraliżując zupełnie i tak już ograniczone możliwości widzenia.

— Zniżamy się na wysokość 8 tys. stóp. Czerwony deszcz przestaje padać. Ale cóż z tego, kiedy dostajemy się w masy pyłu piaskowego, który wdziera się w najdrobniejszą nawet szczelinkę.

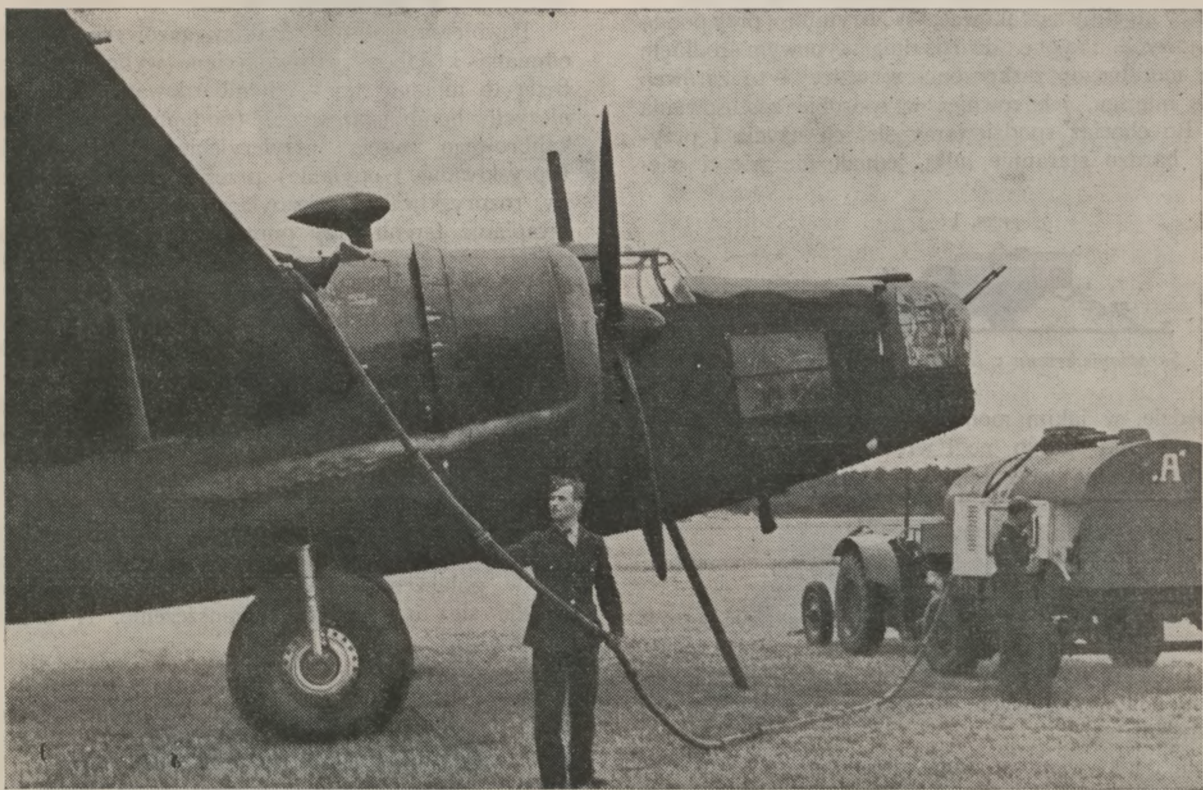
— Lecieć dalej nie sposób. Lądujemy. Pustkowie. Obliczamy, że najbliższe lotnisko oddalone jest o jakieś 500 mil od naszego przymusowego miejsca postoju. Komunikacji żadnej, żadnej ludzkiej istoty w pobliżu. Żadnych danych meteorologicznych. Jedynym drogowskazem — widoczność gór.

— Rozpacz prawdziwa!

— I tak przebywamy w szczerej pustyni cztery dni, żyjąc resztkami zapasów wody, wiatrem i...słowem Bożym.

— Jeżeli widzimy góry — możemy ruszać, rozumuje leader i decyduje się na dalszy lot, nie może bowiem trzymać dłużej ludzi w pustyni, tym bardziej, że zapasy wody są na ukończeniu.

Wystartowali i doprowadzili maszyny do miejsca przeznaczenia.



Polska obsługa przygotowuje samolot do startu

Wiele by można było przytoczyć przykładów przeróżnych przygód naszych pilotów i piętrzących się na każdym kroku trudności na trasie ich lotów.

Pełnią oni z zapałem i poświęceniem ciężką i odpowiedzialną służbę, zyskując uznanie swych przełożonych, a miarą tego uznania niechże będą brytyjskie odznaczenia „Air Force Cross" — widniejące już na piersiach polskich pilotów, pracujących na Środkowym Wschodzie.

Gdy konwój dotrze do celu, z oczu naszych lotników bije duma z dobrze spełnionego obowiązku.

Krótki odpoczynek i ruszają dalej, by spełnić swą zaszczytną służbę ku chwale Rzeczypospolitej.

WACŁAW SIKORSKI
porucznik

Gdzieś na pustyni,
w maju 1942 r.

CZY NIEMCY UŻYJĄ GAZÓW BOJOWYCH?

Premier Churchill oświadczył w przemówieniu radiowym dn. 10. b.m., że otrzymał informacje o zamierzonym użyciu przez Niemców na froncie wschodnim gazów bojowych. Premier dodał, że państwa sprzymierzone są przygotowane do zastosowania represji. W związku z tym zamieszczamy w obszernym streszczeniu ciekawy artykuł z „Polski Walczącej" o możliwości użycia gazów bojowych przy ew. inwazji na wyspy brytyjskie.

W znamiennym przemówieniu wygłoszonym do narodu angielskiego w marcu ub. r. premier Churchill wypowiedział ostrzeżenie, że nazistowskie Niemcy w próbach zaatakowania i inwazji wysp wielkobrytyjskich nie cofną się przed zastosowaniem najokrutniejszych narzędzi wojny nowoczesnej, a więc i przed zastosowaniem chemicznych środków bojowych, które popularnie zwiemy „gazami bojowymi".

To też nie od rzeczy będzie zastanowić się w jaki to sposób Niemcy mogliby zaatakować W. Brytanię przy pomocy gazów bojowych. Są one do dziś dnia typowym środkiem zaskoczenia moralnego; zaskoczenia w walce, i to zarówno w czasie, w miejscu, jak również w sposobie zastosowania i jakości. Bo chociaż spodziewamy się ich użycia i przygotowujemy bardzo starannie, nikt jednak nie wie i wiedzieć nie będzie, w jakim momencie zostaną użyte, w jakim miejscu, w jaki sposób, no i wreszcie, jakie one będą? Czy będą to te same gazy bojowe, jakie były stosowane w czasie wojny światowej, czy jakieś zupełnie nowe, o specjalnym działaniu środki chemiczne?

rys. 1



Skrapianie terenu z samochodu-cysterny

Ten czynnik niewiadomej jest najważniejszym elementem zaskakiwania w wojnie chemicznej.

Drugi powód, dla którego Niemcy mogliby użyć gazów bojowych, to ten, że wyczerpawszy wszelkie sposoby zwalczenia Imperium Brytyjskiego, będą się starali uczynić to przy pomocy gazów bojowych, działających specjalnie na psychikę napadniętego.

Po trzecie, jak wiadomo, już przed wojną 1914-18, Niemcy posiadały największy na świecie masowy przemysł chemiczny. Jest on podstawą produkcji gazów bojowych. Powojenne przygotowania Niemców do rewanżu, a zwłaszcza w okresie ostatnich lat pięciu, tak przemysł ten rozbudowały i zreorganizowały, że każde nawet najdrobniejsze przedsiębiorstwo jest przygotowane do produkcji wojennej, a między innymi do produkcji chemicznych środków bojowych. A przecież to w roku 1937 ukazała się znamienna książka niemiecka pod tytułem: *„Jak każda gospodyni niemiecka może przygotowywać w swej kuchni materiały do produkcji gazów bojowych"*. Widzimy więc, że przy takim nastawieniu wytwórczości tego środka walki, będzie on dla Niemców łatwo dostępny, tani, a nawet bardzo korzystny do zastosowania.

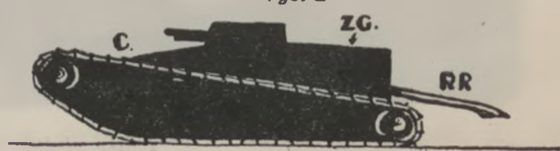
Gazy bojowe użyte być mogą w walce jako: ciała lotne, ciała stałe i ciecze.

Dawne sposoby (z lat 1915-18) napadu gazowego są następujące: napad falowy przez wypuszczenie z butli lotnego gazu i przeniesienie go jako fali gazowej z wiatrem, poprzez przedpola pozycji, do okopów wroga. Następnie atak przy pomocy pocisków artyleryjskich, gdzie teren stanowisk ostrzeliwano pociskami gazowymi, zawierającymi gazy bojowe w stanie lotnym, ciekłym lub stałym. Trzeci wreszcie sposób stanowi atak przy pomocy miotaczy bomb. W tym wypadku bomby te, jak gazowe pociski artyleryjskie, wypełniane były bojowymi środkami chemicznymi. Czwarty rodzaj ataku gazowego, prowadzonego przez Niemców sporadycznie na głębokich tyłach wojsk alianckich w latach 1917-1918 — to atak dywersyjno-szpiegowski. Był on uprawiany przez specjalnych wysłanników oddziału II-ego Sztabu Rzeszy. Znane są bowiem pojedyńcze wypadki z ostatniego okresu wojny europejskiej, że w samym centrum, w samym sercu wojsk alianckich, bo w Sztabie Gł. w Paryżu, zdarzyły się fakty skażenia iperytem oficerów i innych pracowników Sztabu. Po przeprowadzonych dochodzeniach okazało się, że to agenci niemieccy, którzy potrafili dostać się do tak wysokich dowództw, nocami rozsmarowywali przy pomocy pędzelków iperyt na klamkach drzwi, biurkach i krzesłach.

Powojenne sposoby ataków gazowych są tylko pewną odmianą i dalszym rozwinięciem wyliczonych poprzednio. Będą to mianowicie: — bombardowanie przy pomocy lotniczych bomb gazowych (podobne zresztą do wielkokalibrowego ognia artyleryjskiego), skrapianie terenu (opryskiwanie i opylanie) przez samoloty zaopatrzone w t. zw. rozpryskiwacze i rozpylacze gazów bojowych. Ponadto, skrapianie terenu przy pomocy samochodów i czołgów — cystern wypełnionych cieczami gazów bojowych (Rys. 1 i 2). Ten sposób ataku upodobniony być może w swym efekcie do masowego skropienia terenu przy pomocy pocisków artyleryjskich np. iperytowych. Wymienić jeszcze wypada, że samoloty stosować mogą t. zw. ampułki z gazami bojowymi parzącymi, oraz że ulepszone miotacze bomb gazowych używane być mogą dziś wprost z półpancernych samochodów, na których są umieszczone.

Każdy ze znanych rodzajów ataku gazowego może być z mniejszym lub większym powodzeniem użyty przez Niemców, bądź jako samodzielny sposób walki chemicznej, bądź też w połączeniu z innymi. Najbardziej prawdopodobne wydaje się to ostatnie przypuszczenie. A to dlatego, że chcąc wywołać pewny efekt, nieprzyjaciel będzie się starał użyć chemicznych środków napadu masowo, skoncentrować wysiłek na jednym lub kilka odcinkach inwazji w takiej mierze, stopniu i takimi sposobami, by osiągnąć cel zamierzony.

rys. 2



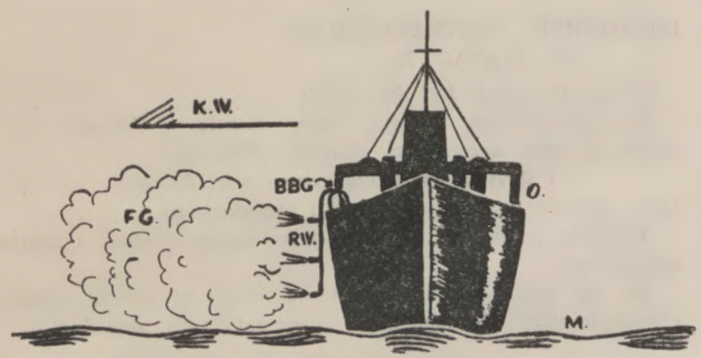
Skrapianie terenu gazem z czołgu

Postarajmy się więc rozważyć w jaki sposób nieprzyjaciel może użyć gazów bojowych przy próbach inwazji.

Zacznijmy przede wszystkim od ataku falowego. Czy może on być zastosowany w inwazji? Zdawało by się na pozór, że ten typowy dla walk pozycyjnych sposób napadu, właśnie przy wręcz odmiennym sposobie walki, bo walki ruchomej, jaką jest inwazja, nie da się zastosować. Poza tym czyż będzie możliwe użycie gazów, o których wiedzieliśmy dotąd, że łączą się często i chętnie z wodą. A tu właśnie wypadało by ich użyć w bezpośredniej bliskości morza?

Na to pytanie odpowiedzieć można, iż najnowsze badania wykazały, że fala gazowa, o ile wytworzona została przez gaz o stosunkowo małej wrażliwości na wodę, może się nad wodą utrzymać przez czas dłuższy i ze skutkiem zakażać powietrze. Dlatego też, sądząc z wiadomości, jakie o przygotowaniach do wojny chemicznej nadchodzą z Niemiec, wydaje się zupełnie możliwe wykonanie ataku gazowego — falowego przy pomocy gazów lotnych, np. z morza. Tutaj przypuszczać należy, że nieprzyjaciel atak ten wykonać może z odpowiednio zaopatrzonych i na odpowiednią odległość do wybrzeża podprowadzonych statków handlowych.

rys. 3



Atak falowy ze statku

Zarówno niemieckie jak i włoskie specjalne zmotoryzowane oddziały „wojsk chemicznych", zaopatrzone są w półpancerne szybkobieżne wozy terenowe, na których ustawione są baterie butli z gazem bojowym. Widać z tego, że nawet w wojnie ruchowej, ewentualnie w akcji inwazyjnej oddziały takie, działając bardzo szybko, mogą podjechać na pożądany odcinek i, nie zdejmując zupełnie butli z wozów — wykonać zamierzony atak falowy.

Ataki artyleryjskie przy użyciu pocisków gazowych, przeprowadzone być mogą przy pomocy ognia pociskami gazowymi, prowadzonego z dział okrętowych, jak również w wypadku udanych sporadycznych posunięć inwazyjnych już na wybrzeżu, przy pomocy ognia artylerii naziemnej. Co do ataków przy pomocy specjalnych miotaczy bomb (moździerzy), to będzie on możliwy w wypadku udanych działań inwazyjnych — z lądu.

Następnym najbardziej prawdopodobnym rodzajem ataku gazowego, w razie działań inwazyjnych będzie atak lotniczo-gazowy dokonany przy pomocy bomb chemicznych, rozpryskiwaczy, rozpylaczy i ampułek gazowych.

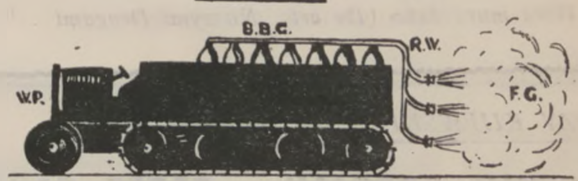
Co do bomb gazowych, to w zależności od rodzaju gazu, jakim są wypełnione, po wybuchu dają one w rezultacie obłok gazowy, albo plamę chemiczną. Obłok powstaje w powietrzu, gdy wybuchnie bomba wypełniona gazem lotnym np. duszącym, trującym, lub drażniącym. Plama chemiczna tworzy się na terenie (na ziemi, na ścianie domu, na zaroślach itp.), gdy nastąpi rozerwanie bomby, wypełnionej bojowym gazem płynnym (ewent. stałym) trudnolotnym, typu gazu żrąco-parzącego (iperyt) lub drażniącego (kamit, sternit). O ile nieprzyjaciel obrzuci pewien odcinek terenu większą ilością bomb dających obłoki gazowe, może się wówczas z nich utworzyć fala gazowa; o ile będą to bomby plamowe — utworzona zostanie przez poszczególne plamy wielka przestrzeń zakażona, zwana polem skażenia.

Bomby gazowe posiadać mogą wagi od 25 kg. do 3000 kg. Bomby chemiczne o wagach małych i średnich, a więc od 25 kg. do 150 kg. ładowane są gazami trwałymi-trudnolotnymi (bomby plamowe), wagi większej — gazami lotnymi (bomby obłokowe).

Jeżeli chodzi o użycie bomb gazowych przez lotnictwo, to również i w tym wypadku zawsze będzie należało wziąć pod uwagę warunki atmosferyczne, panujące na terenie zamierzonego ataku. Zawsze bowiem mają one decydujący wpływ na powodzenie ataku gazowego.

Oddziały wojskowe walczące w pierwszej linii nie będą prawdopodobnie narażone na atak przy pomocy bomb z gazami lotnymi, a to dlatego, że użycie bomb na dużych otwartych terenach, ze względu na ich przewiewność, nie jest wskazane. Co innego w miastach, poprzecinanych siecią nieprzewiewnych ulic. Tu użycie bomb z gazami lotnymi będzie nie tylko możliwe, ale nawet bardzo wskazane z punktu widzenia napadu. Obłoki gazowe utworzone po wybuchu bomb będą się w tych warunkach utrzymywać bardzo długo, skażając powietrze.

rys. 4



Atak falowy z samochodu

Bomby wypełnione gazami trwałymi (plamowe), mogą być użyte z powodzeniem zarówno w polu, jak i na tyłach, wewnątrz kraju, w stosunku do wszystkich bombardowanych celów. Dla przykładu podaję następujące dane dotyczące wielkości obłoków i plam chemicznych:

1) Pocisk gazowy fosgenowy (gaz lotny) 75 mm.	Waga gazu boj. zawartego w pocisku — ok. 600 gr.	W 1 sek. po wybuchu tworzy się obłok objętości ok. 20 m³.
2) Bomba gazowa fosgenowa o wadze 250 kg.	Waga gazu boj. zawartego w bombie — ok. 150 kg.	W kilka sekund po wybuchu tworzy się obłok objętości ok. 100.000 m³.
3) Pocisk gazowy iperytowy (gaz trwały) 75 mm.	Waga gazu boj. zawartego w pocisku — ok. 600 gr.	Po wybuchu tworzy się na ziemi plama chemiczna o powierzchni ok. 20 m².
4) Bomba gazowa iperytowa o wadze 25 kg.	Waga gazu boj. zawartego w bombie — ok. 15 kg.	Po wybuchu tworzy się na ziemi plama chemiczna o powierzchni od 1000 do 1500 m².

ANTIGASUS
(„*Polska Walcząca*")

PACZKI DLA JEŃCÓW

Wobec zainteresowania, które wywołuje los paczek, wysyłanych za pośrednictwem Czerwonego Krzyża do obozów jeńców w Niemczech, zamieszczamy odpisy kilku listów, otrzymanych przez Delegata Czerwonego Krzyża na Palestynę. Listy te świadczą, że paczki dochodzą i przynoszą istotną ulgę w ciężkim położeniu jeńców, a więc dalsze ich wysyłanie pozostaje naszym koleżeńskim obowiązkiem.

Red.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
TEL-AVIV
Palestyna. Dnia 8.II.1942 r.

Potwierdzamy odbiór 45 paczek żywnościowych nadeszłych do obozu VII A. Za paczki te składamy serdeczne żołnierskie podziękowanie. Doręczyliśmy je właścicielom. W razie wysyłania paczek w przyszłości prosimy o oznaczanie na ich opakowaniu, czy paczka jest prywatna „Privat", czy też do ogólnego podziału, gdyż u nas w obozie obowiązuje zasada podziałowa, z wyjątkiem tych paczek, które pochodzą z funduszów ściśle prywatnych. Poza tym podajemy, że paczki do ogólnego podziału można wysyłać na adres męża zaufania obozu, „Vertrauensmanna". Jest to sposób prostszy i wyraźniejszy. Władze niemieckie żadnych trudności nie czynią, a wręcz przeciwnie zalecają wysyłkę na adres męża zaufania. Wysyłkę paczek do podziału, poza prywatnymi, uważamy za bardzo wskazaną, o ile Zarząd Czerwonego Krzyża dysponuje środkami. Jeszcze raz najgoręcej dziękujemy za pomoc i prosimy o pamięć o nas.

Łączymy wyrazy poważania

Mąż zaufania obozu
(—) *Kubicki Franciszek*
Podpułkownik

Najstarszy obozu
(—) *Korycki Józef*
Pułkownik

POLNISCHER VERTRAUENSMANN
des STALAG Xa

Czesław Drogowski Kgf. No. 52570

Za pośrednictwem Międzyn. Czerw. Krzyża w Genewie otrzymałem w dniu wczorajszym przesyłkę WPanów:

1 skrzynię cukru kostkowego wagi 100 kg.,

która nadeszła tu dotąd w całości i nieuszkodzona.

Przesyłkę podzieliłem wśród kolegów-Polaków z obozu i szpitala miejscowego.

Za dar powyższy czuję się w obowiązku w imieniu kolegów i własnym złożyć WPanom nasze szczere żołnierskie: *Bóg Zapłać.*

Cześć!

No. 1461 — 19/231942. (—) Mąż zaufania Polaków obozu Xa.

POLNISCHER VERTRAUENSMANN
des STALAG Xa

Czesław Drogowski Kgf. No. 52570 Dnia 13 lutego 1942 r.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ TEL-AVIV
przez Genewę.

W dniu 4 b.m. doręczone zostały mi nadesłane przez WPanów za pośrednictwem Międzyn. Czerw. Krzyża w Genewie:

202 paczki z żywnością.

Stosownie do otrzymanego z Genewy awiza braknie zatem



Wieś murzyńska (Do art. „Naszymi Drogami...")

JERZY KIJEWSKI

NASZYMI DROGAMI - PRZEZ SAHARĘ

(Ciąg dalszy)

Murzyn nasz, który był najwyższym dostojnikiem na miasto Kambę i okolice, był dla nas bardzo uprzejmy. Obiecał przysłać nam coś do jedzenia oraz dywany i tapczany do spania. Daliśmy mu 25 franków i dziesięć pomarańcz, których jednak sam nie przyjął, lecz wezwał coś w rodzaju swego marszałka dworu, który pieniądze i owoce zabrał.

Zainstalowaliśmy się na małym placyku przed urzędowym budynkiem. Czuliśmy się jak trupa wędrownych aktorów, przygotowujących się do przedstawienia na niedzielnym jarmarku. Murzyni otoczyli nas zwartym kołem, śledząc każdy nasz ruch i dzieląc się głośno swymi wrażeniami. Było to trochę krępujące, ale noc już zapadła i pod jej osłoną byliśmy trochę swobodniejsi. Przyniesiono nam parę kurcząt, garnek miodu i mleka. Jeden z Murzynów, przydzielony nam na kucharza, rozpalił ognisko i zabrał się do gotowania. Niezmiernie się zdziwił, że kazaliśmy mu kury wypatroszyć i wyrzucić wnętrzności, był prawie oburzony, że tak marnujemy dary Boże.

Nagle, znowu dał się słyszeć złowrogi krzyk, wzywający do modlitwy. Murzyni pędem podążyli na plac targowy. Zostaliśmy sami, obserwując ich z daleka. Zapalono setki pochodni. Murzyni, jak poprzednio, zaczęli kiwać się na klęczkach, wśród grobowej ciszy, przerywanej tylko z rzadka okrzykami Murzyna na tarasie.

Wtem, kilkadziesiąt bębnów warknęło przy akompaniamencie skrzeczących piszczałek, a niesamowity wrzask wstrząsnął powietrzem. Biało ubrany Murzyn pośpiesznie zszedł po drabinie z tarasu i porwał w rękę pochodnię. Przez dłuższą chwilę trwało straszne zamieszanie, aż wreszcie, bębnienie, piszczałki i wrzask Murzynów zlały się w jakąś skoczną, rytmiczną melodię, pod dźwięk której Murzyni ruszli z miejsca.

Nie był to jednak pochód, a coś w rodzaju tańca, lub podrygiwania na miejscu. Od czasu do czasu, wszystko stawało, zalegała cisza i wówczas Murzyn idący na przedzie głośno odchrząkiwał, spluwał zamaszyście, po czym krzyczał groźnym głosem:

— Allah saleeem!!! Allah saleem!!!

Straszny wrzask mu odpowiadał i pochód ruszał dalej, pod rytmiczny dźwięk bębnów i piszczałek.

Trwało to już dosyć długo i byliśmy trochę oszołomieni i ogłuszeni owymi religijnymi obrządkami Murzynów.

— No cóż, podoba się panu tu, u Anglików, zwróciłem się do towarzyszącego nam kaprala. — Zupełnie tak, jak w kinie.

— E, kino, to lipa, w porównaniu do tego, panie majorze, odpowiedział kapral, patrząc podejrzliwie na tańczących Murzynów.

Wreszcie, pochód się zakończył i Murzyni znowu ciasnym kołem otoczyli nasze samochody. Gdy zbliżali się zanadto,

8 paczek, które być może jeszcze nadejdą, otrzymane zaś odebrałem w zupełnym porządku i nieuszkodzone.

Przesyłkę WPanów podzieliłem wśród kolegów Polaków obozu i szpitala miejscowego oraz dwu zamiejscowych szpitali dla jeńców.

Za dary WPanów pozwalam sobie złożyć im w imieniu kolegów i własnym serdeczne podziękowanie wraz z zapewnieniem, że dowód pamięci ze strony rodaków na obczyźnie głęboko nas wzruszył.

Cześć!

(—) Mąż zaufania Polaków obozu Xa.

Od Redakcji

Redakcja „Ku Wolnej Polsce" zdaje sobie sprawę, że radosny fakt znakomitego rozrostu polskich sił zbrojnych na Środkowym Wschodzie nakłada na nią zwiększoną odpowiedzialność. Włożymy wszystkie siły w sprostanie narastającym zadaniom, ale prosimy wszystkich Kolegów-Czytelników o wzajemne zrozumienie, że pismo nasze jest Ich własnym pismem i jego wartość zależy w ogromnej mierze od uznania go za własne przez ogół żołnierzy polskich na Środkowym Wschodzie.

Prosimy więc o utrzymywanie łączności z redakcją. Prosimy o nadsyłanie nam materiałów w postaci artykułów, notatek, opisów przeżyć, utworów literackich, listów do redakcji, fotografii z życia wojska, rysunków itp. Nie wszystko będziemy w możności wydrukować, ale i autorzy prac nie zamieszczonych mogą być pewni, że przesyłając materiał, ułatwiają nam pracę. Prosimy wreszcie o opinie, choćby najbardziej krytyczne, byle szczere, o pracy naszego pisma: co się Wam podoba, a co radzibyście zmienić albo poprawić. I tu nie wszystkim życzeniom będziemy mogli uczynić zadość, ale przecież nie o to chodzi. Chodzi o to, że tylko przy współpracy Czytelników i redakcji pismo może wypełnić z pożytkiem swe zadanie.

Materiały dla redakcji najlepiej przesyłać za pośrednictwem oficerów oświatowych oddziałów z napisem: „Materiał prasowy, — redakcja ‚Ku Wolnej Polsce'".



Uroczystość 3 Maja w m. p. Dywizji Karpackiej: gen. dr. J. Zając w rozmowie z płk. P. Opodal brygadier wojsk brytyjskich

zapaliliśmy nagle reflektory naszych wozów i Murzyni, jak spłoszone stado, w panice rzucali się do ucieczki, przewracając się i tratując się wzajemnie.

Pomimo, żeśmy byli bardzo zmęczeni, baliśmy się zasnąć, gdyż Murzyni mogli nam w nocy coś spsocić. Postanowiliśmy więc kolejno pełnić wartę z jedynym rewolwerem, jaki był w naszym posiadaniu.

Rzuciłem się na tapczan z trzciny i leżałem bez ruchu, rozmyślając nad przygodami ostatniego dnia. Wreszcie osiągnęliśmy cel naszej podróży. Po raz wtóry opuściliśmy Francję. Byliśmy już w angielskiej kolonii, ale co będzie dalej? Jak nas przyjmą Anglicy i czy zechcą skierować nas do naszego wojska? Długa i daleka droga czekała nas jeszcze. Na razie, byliśmy w jakiejś wsi murzyńskiej, gdzieś tam pod samym równikiem, w głębi puszczy afrykańskiej, daleko od wojny i cywilizacji, ale świat jest niewielki, wszak przebyliśmy już tysiące kilometrów w stosunkowo krótkim czasie.

We wsi hałasy zaczęły cichnąć. Murzyni porozchodzili się powoli i ogniska pogasły. Po upalnym dniu, noc była gorąca i duszna, tak, że ciężko było oddychać i, pomimo strasznego znużenia i wyczerpania, zasnąć nie było można. Tysiące wielkich robaczków świętojańskich unosiło się w parnym i wilgotnym powietrzu. Z pobliskiej dżungli zaczęły nadchodzić odgłosy zwierząt i nocnego ptactwa. Bezksiężycowa noc była jednak widna i jasna, tysiące gwiazd wyiskrzyło niebo, wśród których widniał jasny „Krzyż Południa". Zacząłem drzemać, budząc się co chwila.

Nazajutrz, przebyliśmy kilkadziesiąt kilometrów okropnej drogi dżunglą, gdzie często musieliśmy się brać do łopat i torować sobie drogę, jak dnia poprzedniego. Wyjechaliśmy z puszczy i ruszyliśmy stepem porosłym gęstą, parumetrową trawą, w której nasze samochody, jak żniwiarki w zbożu, wolno posuwały się naprzód. Co pewien czas, musieliśmy stawać i usuwać zielsko nagromadzone z przodu, gdyż motory zaczynały się grzać niemiłosiernie.

Wreszcie, stanęliśmy przed dość szeroką, bagnistą rzeką. Przeprawa nie była rzeczą łatwą, gdyż prom, a właściwie dwie łodzie murzyńskie, zbite pokładem z desek, nie dochodził szczelnie do spadzistego brzegu. Musieliśmy więc po owych deskach ostrożnie przeprowadzić nasze samochody. Zabrało nam to sporo czasu i dopiero około południa wydostaliśmy się na dobrą, twardą drogę gruntową, prowadzącą do odległego jeszcze o dwieście kilometrów miasta Sokoto.

Z podręcznej encyklopedii, jakąśmy z sobą mieli, dowiedzieliśmy się, że Sokoto ma sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, mieliśmy więc nadzieję, że znajdziemy tam hotel, gdzie będziemy mogli odpocząć i doprowadzić się do porządku, gdyż garderoba nasza, jakąśmy mieli na sobie i wygląd nasz, pozostawiały wiele do życzenia.

Jechaliśmy teraz przez kraj o uprawnych polach, usiany

ODNALEZIENI W Z. S. S. R.

Wśród ostatnio odnalezionych i zwolnionych na terenie ZSSR osób znajdują się: Prof. Stanisław Kościałkowski, historyk, prezes Stow. Nauk w Wilnie, Regina Kościałkowska, żona b. premiera, inż. Witold Czyż, wiceprezydent m. Wilna, Aleksander Światopełk-Mirski, prof. Wiktor Sukiennicki (prawo konstytucyjne, Uniwersytet Wileński), prof. Adam Skąpski (chemia fizyczna, Akademia Górnicza w Krakowie), dr. Adam Bardecki (starszy asystent Katedry Psychologii na Uniwersytecie Lwowskim).



Uroczystość 3 Maja w m. p. Dywizji Karpackiej: Msza polowa

KRONIKA W. P. Ś. W.

WIZYTA NACZELNEGO DOWÓDCY WOJSK SPRZYMIERZONYCH W PALESTYNIE I TRANSJORDANII W ODDZIAŁACH W.P.Ś.W.

W dniu 12 b.m. naczelny dowódca wojsk sprzymierzonych w Palestynie i Tarnsjordanii gen. McConnell w otoczeniu oficerów brytyjskich dokonał inspekcji oddziałów W.P.Ś.W. Przy wejściu do obozu powitał gen. McConnella zastępca dowódcy dywizji płk. Ł., po czym gen. McConnell przyjął raport i defiladę kompanii honorowej. Następnie dowódca wojsk sprzymierzonych w Palestynie i Transjordanii w towarzystwie pułk. Ł. i oficerów polskich przeprowadził inspekcję oddziałów W.P.Ś.W., żywo interesując się warunkami zakwaterowania, umundurowania, uzbrojenia oraz ćwiczeniami poszczególnych oddziałów. Po inspekcji gen. McConnell podejmowany był przez sztab dywizji w kasynie oficerskim.

WYSOKIE ODZNACZENIE POLSKIE DLA GENERAŁÓW BRYTYJSKICH

Najwyższe polskie odznaczenie wojskowe, a mianowicie order „Virtuti Militari", nadany został przez Premiera Rządu Polskiego i Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych dowódcy wojsk sojuszniczych na Środkowym Wschodzie gen. Sir Claude Auchinleckowi oraz dowódcy 8-mej armii brytyjskiej w Libii gen. Ritchi'emu. Polska Brygada Karpacka, walcząca pod dowództwem gen. Kopańskiego w Libii, wchodziła w skład 8-mej armii gen. Ritchi'ego, która podlegała naczelnemu dowództwu gen. Auchinlecka.

---

wielką ilością osiedli ludzkich, ale nie zatrzymaliśmy się już nigdzie, chcąc jak najprędzej dotrzeć do Sokoto. Spotykani Murzyni, jak uprzednio, oddawali nam pokłon, wznosząc prawą pięść do góry. Intrygował nas bardzo rodzaj tego pokłonu, który niezwykle przypominał powitanie naszych europejskich komunistów. Okazało się jednak, że nie było żadnej łączności między tymi dwoma formami powitania. Murzyni dawniej uzbrojeni byli w lance, które wznosili w górę w zaciśniętej pięści i potrząsali nimi na znak powitania. Lance zniknęły, jako już niepotrzebne w cywilizowanej Nigerii, ale ruch ręką pozostał, jako forma pokłonu.

Wreszcie nad wieczorem ujrzeliśmy mury rozległego miasta. Sokoto było miastem wybitnie murzyńskim i Europejczyków nie było wcale. Policjant, Murzyn w mundurze, zdziwił się bardzo, gdyśmy zapytali go o hotel, nie wiedział nawet, co to znaczy i wskazał nam drogę do siedziby rezydenta angielskiego.

Wyjechaliśmy znowu za miasto, kierując się do dzielnicy europejskiej, która znajdowała się w cieniu wielkiego parku. Stały tam, porozrzucane, piękne i gustownie urządzone wille kolonialne urzędników angielskich, wśród kwiecistych ogrodów i bujnej roślinności. Na trawnikach, przed każdym domem, zatknięte były małe białe drzewka z nazwiskami i funkcjami właścicieli. Wkrótce, odszukaliśmy deseczkę „Residency" i zajechaliśmy przed dość duży dom, typu kolonialnego, na wysokim podmurowaniu, z okólną werandą, kryty strzechą ze słomy, jak zresztą większość budynków w centralnej Afryce. Przed domem ciągnął się piękny park, starannie utrzymany z zielonymi trawnikami i mnóstwem kwiatów.

Naprzeciw nam wybiegło paru Murzynów, w liberii niepokalanej białości, przepasanych czerwonymi szarfami. Okazało się, że rezydenta nie ma w domu, lecz miał za chwilę powrócić. Murzyni wystawili przed dom, na wielki trawnik, parę foteli klubowych, w których zasiedliśmy wygodnie.

Wkrótce przyjechał rezydent, wraz ze swą żoną. Ze zdziwieniem zaczęli spoglądać to na nasze zakurzone i obładowane samochody, to na nasze brudne i poszarpne stroje i przez chwilę sytuacja była niewyraźna i naprężona. Lecz, gdy wyjaśniliśmy kim jesteśmy, skąd jedziemy i pocośmy przyjechali, rezydent otworzył ramiona i począł nas witać, jak członków najbliższej rodziny. Gromkim głosem zaczął wydawać Murzynom rozkazy, aby przygotowano nam gościnne pokoje i przyniesiono natychmiast tradycyjne „drink'i", aby od razu uświęcić nasz szczęśliwy przyjazd.

Gdy, po pewnym czasie, wykąpani, odświeżeni, w czystych ubraniach, zasiedliśmy wraz z rezydentami do stołu, zastawionego srebrem i kryształami, zrozumieliśmy, że Anglicy nas nie opuszczą. Byliśmy wreszcie pod opieką Jego Królewskiej Mości.

(D.c.n.)

NIEMCOM

Wam, piwosze bawarskich knajp, brzuchaci übermensche,
Niosący mej ojczyźnie butę, pożogę i złość,
Dzisiaj przekleństwo rzucam! gniewem nabrzmiałe wiersze
I słowo krótkie, jak wystrzał: dość!!!

Nocą skradają się cienie burzyć beztroskie szczęście,
Strach podchodzi pod okna — to tupot żołdackich kroków...
Przeciwko wam się podnosi las rozgniewanych pięści,
Złowrogie ostrza bagnetów, jak zęby błyskają w mroku...

I nigdzie wam już nie uciec, nigdzie nie schronić głowy,
Na każdym kroku się ręka ciosem śmiertelnym zamierzy...
Przyjacielu daleki w Warszawie, Wilnie, we Lwowie,
Pchnij śmiało nożem w plecy — jutro na wprost uderzysz!

Wichry szalone od stepów rozwieją grzywy zwycięskie,
Runą żelazne wojska, by deptać, niszczyć i dławić,
I nikt, i nic nie powstrzyma grozy idącej i klęski, —
To my wśród huku i dymu naszą poniesiem nienawiść!

Pieśń, rzucona jak granat, na strzępy rozerwie ciszę,
Dreszczem szalonych uniesień w ojczystych miastach wystrzeli...
Warszawo! dumna stolico, w warkocie maszyn usłyszysz
Marsz twoich dzieci do boju. To idzie ARMIA MŚCICIELI...

W tę straszną gniewu godzinę niebo się ściemni nad krajem,
A Chrystus chmurny się cofnie w głąb rozwalonych kościołów,
Lecz zemsty bólem serdecznym, gniewem straszliwym nabrzmiałej,
Żadna już siła na świecie, — żadna powstrzymać nie zdoła.

Za naszą młodość tragiczną, młodość zduszoną, spętaną,
Za każdą ziemi zdeptanej butem germańskim piędź,
Za krew, za ból upokorzeń, za strach, za mękę, za rany
NIEMCOM — ŚMIERĆ!!!

JAN OLECHOWSKI

NOWI „KAWALEROWIE MALTAŃSCY"

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Obrona Malty, która doszła w ubiegłym tygodniu do najwyższego napięcia, przejdzie do najwspanialszych legend, jakie zrodzi bezprzykładna wojna obecna. Wytrzymać przeszło dwa tysiące nalotów, oprzeć się najokrutniejszym bombardowaniom, nie załamać się na widok niszczonych bezlitośnie wspaniałych zabytków, gmachów i kościołów historycznych, patrzeć co dnia i co nocy prosto w oczy śmierci i nadal walczyć — to przykład wyjątkowego bohaterstwa, odwagi i determinacji, który stawiany będzie przyszłym pokoleniom za wzór cnót najwyższych.

Nazwa Malty związała się z tradycją rycerstwa średniowiecznego, ze słynnym, suwerennym zakonem krzyżowym, co o Ziemię Świętą walczył, a później, złożony z przedstawicieli najwyższej arystokracji, poświęcał się pracy humanitarnej, a zwłaszcza szpitalnictwu. Dziś Malta staje się ojczyzną nowego, już nie-rodowego rycerstwa, nowych, już nie szlacheckich tylko, „kawalerów maltańskich", którzy — obok obrońców Warszawy, Londynu, Krety i tylu innych miejsc, — symbolizować będą te ofiary, jakich współczesna wojna wymaga od żołnierza i od każdego obywatela, walczącego o prawa do bytu i do wolności.

Wspaniała w swym dramatycznym napięciu scena bombardowania Malty w chwili zaprzysięgania jej nowego gubernatora, gen. lorda Gorta, godna jest uwiecznienia w literaturze, jako przykład charakteru, stoicyzmu i pogardy dla śmierci.

A jednak Niemcy pomimo zniszczeń i spustoszeń nie mogli zdobyć Malty. Zburzyli wiele miejscowości tej pięknej wyspy, ale jednocześnie powstało tam jeszcze jedno z cmentarzysk ich floty powietrznej. W ubiegłym właśnie tygodniu Anglicy rzucili do obrony Malty zwiększoną ilość myśliwców. Skutek był natychmiastowy, a wyraził się w poważnych stratach lotnictwa „osi".

Można by zapytać, dlaczego Niemcy, którzy muszą zaopatrywać w samoloty olbrzymi front rosyjski, którzy oszczędzają Luftwaffe na zachodzie, tutaj, w walce z maleńką wyspą Morza Śródziemnego, są tak rozrzutni i tak zaciekli w dążeniu do jej opanowania. Nie można tego tłumaczyć tylko względami prestiżowymi. Nie tylko tym, że Malta jest wciąż „kawałkiem Europy", który — obok Gibraltaru — pozostaje w rękach Anglii, mimo tylokrotnych zapowiedzi Hitlera o „wyrzuceniu" Anglików z Europy.

Inne jeszcze względy kierować muszą kanclerzem Rzeszy. Położenie strategiczne Malty jest zgoła wyjątkowe. Trudno sobie wyobrazić większą ofensywę „osi" na Środkowy Wschód i na Egipt, o ile na tyłach wojsk i floty niemiecko-włoskiej stać będzie niewzruszenie Malta, jako twierdza brytyjska. Z drugiej strony, Malta leży w odległości zaledwie stu kilometrów od brzegów Włoch i może stać się w pewnej chwili bazą wypadową do uderzenia w najczulszy punkt „osi" — we Włochy. Niemcy oraz Włosi nie opanują Morza Śródziemnego, dopóki nie zdobędą Malty, stąd ich zawziętość w atakach na wyspę. Stąd ich wysiłek, by tu wiązać część wojsk brytyjskich.

Być może w przyszłości dopiero ocenimy w pełni, czym była długotrwała i skuteczna obrona Malty. Okaże się zapewne, że jej bohaterski opór powstrzymał nacisk niemiecki na Środkowy Wschód i sparaliżował rozległe plany sztabów niemieckiego i włoskiego na Morzu Śródziemnym. Fakt, że Malta trzyma się w chwili, gdy Hitler, chcąc nie chcąc, musi zdecydować się na uderzenie na Rosję i gdy Anglia może już zapowiedzieć wzmożenie uderzeń, na razie powietrznych, na Rzeszę, posiada olbrzymie znaczenie. O ile inaczej wyglądałaby sytuacja, o ile wolniejsze ręce miałby Hitler, gdyby drzazga maltańska nie kłuła buta włoskiego. Już sam fakt, że Malta wiąże tak znaczne siły lotnicze „osi" i tak skutecznie zabezpiecza Środkowy Wschód, ma kapitalne znaczenie dla układu sił w obecnej fazie wojny oraz dla jej przyszłości.

Nowe bowiem wypadki wojenne zapowiedział w bojowej mowie z dn. 10 czerwca premier Churchill. Dwa punkty wybijały się w tym pełnym temperamentu i ognia przemówieniu. Po pierwsze, premier W. Brytanii zapewnił, że wzmożona ofensywa powietrzna samolotów angielskich i amerykańskich na Niemcy będzie głównym wydarzeniem w tegorocznej kampanii wojennej. Żadne „odwetowe" naloty Niemców na Anglię nie powstrzymają W. Brytanii od zadawania coraz poważniejszych ciosów ośrodkom przemysłu niemieckiego, portom, liniom komunikacyjnym i żegludze wroga. Premier Churchill ostrzegał jednocześnie rząd niemiecki, by ewakuował ludność cywilną z różnych miast Rzeszy, skazanych na bombardowanie. Niemcy zresztą, którzy chełpili się zburzeniem Warszawy, Rotterdamu i Białogrodu, nie mają żadnego tytułu moralnego do uskarżania się na straty i ofiary, jakie obecnie ponoszą.

Drugim ważnym punktem mowy Churchilla była jego uroczysta zapowiedź, że w razie niesprowokowanego użycia przez Niemców gazów bojowych w wojnie z Rosją, Anglia postąpi tak, jak gdyby sama padła ofiarą napaści gazowej, to znaczy rozpocznie również wojnę gazową z Niemcami. Tak otwarte postawienie sprawy musiało wywołać w Niemczech konsternację, o czym świadczy choćby kłopotliwe milczenie radia i dzienników niemieckich na temat surowego ostrzeżenia Churchilla. Opinia niemiecka wie już jednak, że Niemcy nie są u kresu wysiłków i cierpień oraz że Rzesza przygotować się musi na dalsze okrutne konsekwencje swej napaści na Polskę.

Premier Churchill zaznaczył również, że ze względów zrozumiałych nie zamierza ujawniać, czy Anglia przystąpi do utworzenia nowego frontu w Europie. Wysuwanie tego postulatu przez opinię brytyjską uważa jednak premier za dowód jej bojowości, za przejaw ducha zaczepnego. Z treści mowy premiera, jak i z innych wynurzeń, wynika, że Anglia rozpocznie inwazję na Europę dopiero wówczas, gdy będzie gotowa całkowicie i gdy będzie pewna zadania wrogowi ciosu ostatecznego, który da W. Brytanii oraz jej sprzymierzeńcom zwycięstwo i pokój.

Mowa premiera Churchilla — wygłoszona w dwuleciu jego dojścia do władzy — była zresztą pełna ufności i pewności siebie. Tchnęła optymizmem, którym wódz narodu angielskiego nie zwykł karmić swego społeczeństwa. Odbijała pod tym względem od niedawnych, ponurych raczej wywodów Hitlera, który swemu społeczeństwu zagroził terrorem.

Premier Churchill przemawiał w dniu, gdy na Krymie Niemcy toczyli już od dwuch dni pierwsze walki zaczepne. W chwili, gdy piszemy te słowa, nie jest jeszcze jasne, czy uderzenie Rzeszy na półwyspie Kerczeńskim jest wstępem do ogólnej ofensywy, czy też ma ono na celu opanowanie na razie samego Krymu, gdzie w rękach rosyjskich, obok Kerczu, znajduje się jeszcze Sewastopol. W każdym razie rozpoczęcie działań wojennych właśnie na Krymie wykreśla wyraźnie kierunek marszu niemieckiego, zwróconego przede wszystkim w stronę Kaukazu.

Ofensywa na Kaukaz może mieć, poza opanowaniem źródeł naftowych, jeszcze inny cel na oku: nawiązanie łączności z wojskami japońskimi, idącymi ze wschodu. Jednocześnie bowiem nadeszły wiadomości, że oddziały japońskie, po opanowaniu większej części terenu Burmy, zbliżyły się do granic Indii. Ostatnie doniesienia mówiły również o zdobyciu przez Japończyków burmańskiego portu Akyab, leżącego w odległości 500 km. od Kalkutty.

Na innych odcinkach walki w Burmie Japończycy zdołali przekroczyć granicę chińsko-burmańską i wejść na teren Chin, do prowincji Yunnan, napotkali tam wszakże na zacięty opór. Partyzanci chińscy walczą również nadal dokoła zajętego przez Japończyków miasta burmańskiego Mandalay. Nie zmienia to jednak faktu, że należy uważać kampanię burmańską niemal za zakończoną. Być może — stoimy już w przededniu walk o Indie.

Japończycy zetkną się tu z przestrzenią tego wielkiego kraju oraz z trudnym do opanowania bagnistym terenem, który ciągnie się wzdłuż wschodniej granicy Indii. Niedawno, w wyniku konferencji, jakie w Indiach odbywał wysłannik rządu brytyjskiego sir Stafford Cripps, kongres hinduski uchwalił nie stawiać zbrojnego oporu Japonii, ale też nie przeszkadzać w walce, prowadzonej przez wojska brytyjskie. Jest to stanowisko przyjaznej raczej neutralności wobec W. Brytanii, lecz nie wyraża ono poglądu całego społeczeństwa hinduskiego. Niezależne państewka hinduskich maharadżów walczą już po stronie Anglii i dostarczają jej rekruta, a również muzułmańska część ludności popiera wysiłek W. Brytanii.

Zarysowana możliwość uderzenia Japończyków na Indie przedstawia dziś w każdym razie główne niebezpieczeństwo na tamtym teatrze wojny. Pierwsza bowiem próba najazdu japońskiego na Australię nie udała się. W wielkiej bitwie morsko-powietrznej, jaka rozegrała się u brzegów wysp Salomona, inwazyjna flota japońska została odparta, ponosząc bardzo ciężkie straty. Około 20 japońskich okrętów wojennych i transportowych uległo zatopieniu lub poważnym uszkodzeniom. Flota amerykańsko-brytyjska poniosła też straty, które ze względu na tajemnicę wojskową nie zostały ujawnione, lecz niewątpliwie osiągnęła swój cel, odnosząc pierwsze w tej wojnie większe zwycięstwo nad Japończykami. Nie znaczy to, by Japończycy zaniechali dalszych prób najazdu na Australję, lecz już dziś jest widoczne, że obrona tego kontynentu organizowana jest na poważną skalę i może w pewnej chwili zagrozić Japończykom, gdy będą pochłonięci walką o Indie.

Upadek amerykańskiej wyspy-twierdzy Corregidor na Filipinach nie posiada już większego znaczenia strategicznego. Było rzeczą jasną, że Corregidor, odcięty od pomocy amerykańskiej, skazany jest na kapitulację po wyczerpaniu amunicji i żywności. Rola jego oraz innych punktów oporu na Filipinach polegała tylko na wiązaniu pewnych sił japońskich. Mimo to walecznа, kilkumiesięczna obrona Corregidoru stanowić będzie również — obok Malty — chwalebny rozdział tej wojny i służyć będzie za dowód, jak skutecznie dobrze przygotowane punkty oporu mogły bronić się, mimo całkowitego okrążenia przez siły przeważające. Westerplatte pozostanie tych walk przykładem pierwszym i najchlubniejszym.

Podczas gdy na wszystkich teatrach wojny nastąpiło w ubiegłym tygodniu wyraźne ożywienie, zapowiadające szereg doniosłych wydarzeń, rządy sprzymierzone poczyniły dalsze posunięcia zapobiegawcze i obronne. Po obsadzeniu francuskiej bazy morskiej Diego Suarez na Madagaskarze — gdzie siły zbrojne Vichy poddały się po trzydniowej walce — przyszła kolei na Martynikę. Wyspa ta, leżąca na Morzu Karaibskim w pobliżu brzegów Ameryki Południowej, stanowi wraz z Guadelupą oraz z Gujaną francuską główną posiadłość na Zachodniej Półkuli. Podlega ona teoretycznie władzy rządu Vichy, który trzyma tam część swoich większych jednostek morskich z lotniskowcem „Bearn“ na czele. Na Martynice zabezpieczono też złoto Banku Francuskiego.

Nowa polityka Lavala nasunęła w Waszyngtonie obawy, że współpraca „francusko-niemiecka“ może doprowadzić do użycia Martyniki za bazę dla lotnictwa i łodzi podwodnych „osi“ w ich uderzeniach na Amerykę. Chcąc uchronić się przed tą możliwością rząd Stanów Zjednoczonych wszczął rokowania z gubernatorem Martyniki, admirałem Robertem, domagając się od niego odpowiednich rękojmi wojskowych w zamian za uznanie suwerenności Francji nad wyspą, jak i władzy admirała Roberta nad tą posiadłością.

Rząd amerykański nawiązał powyższe rokowania z pominięciem rządu Vichy, który, jego zdaniem, ma dziś ręce związane i jest wykonawcą woli Berlina. Pertraktacje prowadzone są bezpośrednio z gubernatorem Martyniki i dla Waszyngtonu jest obojętne, czy rząd Lavala uzna, lub odrzuci mającą być zawartą umowę.

Sytuacja ta wszakże wywołała już protest Berlina, który stanął w „obronie“ autorytetu rządu Vichy. Marsz. Goering przybył do Francji i podobno odbył ważną rozmowę z Lavalem, wysuwając wobec niego serię nowych roszczeń i pretensji, grożąc, że w razie odrzucenia ich, Rzesza zgodzi się na obsadzenie przez Włochy Korsyki i Tunisu. Francja Vichy znalazła się między przysłowiowym „młotem i kowadłem“. Czy uda się rządowi Vichy lawirować nadal między „osią“ a sprzymierzonymi, a zwłaszcza St. Zjednoczonym? Czy uda mu się zachowywać „dobre stosunki“ zarówno z Berlinem, jak i z Waszyngtonem? Odzywają się głosy, że ekwilibrystyka ta, prowadzona bez większego zresztą stylu, nie będzie mogła być utrzymana. W każdym bądź razie polityka Vichy wchodzi znowu w okres ostrego przesilenia. Nie wytrzymuje już wielkiej próby dziejowej, którą zlekceważyła, gdy doprowadziła tak małodusznie do wycofania Francji z wojny w czerwcu 1940 r.

Zmiany, jakie mogły by nastąpić we Francji, oddziałały by poważnie na przebieg wojny, wytwarzając w szczególności nową sytuację na Morzu Śródziemnym. Niemałe znaczenie miałaby również próba okupacji przez wojska „osi“ Tunisu oraz innych afrykańskich posiadłości Francji, do czego sprzymierzeni nie będą mogli dopuścić. W tych warunkach Francji oraz jej posiadłościom groziła by możliwość posłużenia za teren nowych walk. A wówczas Maltę — do której wracamy znowu — czekałaby nowa rola; Maltę i współczesnych „kawalerów maltańskich“.

D. I.

„1000 Słów po Afrykańsku"

Film ten poświęcić pragnę tym, którzy kiedyś w dalekiej przyszłości badać będą nasze dzieje. Nie bez wzruszenia myślę o tych historykach, szperaczach, badaczach i miłośnikach przeszłości, którzy kiedyś pochylać się będą nad pożółkłymi kartkami roczników „Ku Wolnej Polsce". Wertować będą to nasze pismo, które my redagowaliśmy, pisali, składali, tworzyli w hamsinie, w upale, w barakach, na piasku, w namiotach, na tylu egzotycznych m.p.

Mój Boże — jakaż to będzie praca na podstawie różnych materiałów odtwarzać nasze barwne, obecne życie! Nie tylko to oficjalne, nie tylko to wspaniałe, wypisane „złotymi zgłoskami", że tak powiemy, ale i to zwykłe, codzienne życie żołnierza polskiego w krajach Azji i Afryki, objętych mało efektowną nazwą Środkowego Wschodu.

Czy wy czcigodni panowie historycy będziecie choćby w przybliżeniu zdolni wyobrazić sobie, jak my tu w latach pańskich 1940 do 19.. żyliśmy, mówili, czym i kim interesowaliśmy się? Niepokoi mnie czy np. zrozumiecie bez słownika, powiedzmy, fragment pamiętnika żołnierskiego pisanego gwarą Afrykańczyków. Może dobrze by było już dziś opracować dla was, przyszli panowie badacze, coś w rodzaju „1.000 słów po afrykańsku". Sprawa nie jest wcale błahą. Onegdaj odczytałem sobie mały ustępik z moich własnych pamiętników, pisanych jeszcze przed rokiem, rozczuliłem się, niemal rozpłakałem, ale równocześnie przeraziłem. Czy potomni zrozumieją, co my piszemy?

A oto przykład, mały fragmencik wspomnianego pamiętnika:

> *„Jarosz, jedyny z leśnych dziadków, poszedł owego dnia na browar. Rozpylił tam dobrych kilka kasztanów. Następnie w drace, jaką rozpętał z trzema deakami, inne obecne cyprusy stanęły za nim. W finale Jarosz, maźnięta łajza, pod widelcem poszedł pod śledzia, a innym skończyło się na opr. Z kanciapy wyfrunął po dekadzie z papadaczem. Biedne chłopisko".*

Czy za lat powiedzmy 40, czy 50, powyższy tekst będzie zrozumiały? Czy znajdzie się ktoś na tyle bystry, że zdoła odcyfrować dokumenty chwili spisane w czystej gwarze Afrykańczyków? Czy nie dobrze było by już dziś do owych epickich, jędrnych tekstów dodać metodologiczny, gramatyczny rozbiór?

A więc zaczynamy:

Leśne dziadki — *żołnierze przybyli na Środkowy Wschód, przeważnie z Cypru, w wieku od 55 do 65 lat, różni wojewodowie, prezesi sądów i.t.d.*

Iść na browar — *wybrać się na wódkę celem wypicia kilkunastu kieliszków plus parę litrów piwa.*

Rozpylać — *wydawać pieniądze.*

Kasztany — *złote funty angielskie lub egipskie, złote dolary i inne monety złote skupywane przez zamożniejszych celem uchronienia gotówki od przepicia. W tym wypadku słowo „kasztany" użyte zostało jako przenośnia, gdyż Jarosz nie miał pieniędzy w kruszcu.*

Draka — *awantura połączona przeważnie z cielesnymi obrażeniami uczestników oraz zbiorowymi wypowiedziami nieprzyzwoitych słów.*

Deak — *żołnierz z przeszłością chorobową, bez żadnej przyszłości, posiadający kategorię „D" i zwykle t. zw. cenzus.*

Cyprus — *żołnierz, który jako cywilny uchodźca przed wcieleniem przebywał na wyspie Cypr, gdzie świetnie mu się powodziło.*

Łajza — *określenie żołnierza, który mimo energii i uporu swych przełożonych nie zdołał przyswoić sobie cech żołnierza w wyglądzie zewnętrznym.*

Widelec — *bagnet.*

Pod śledziem — *w areszcie. Nazwa poszła od popularnego, poczciwego sierżanta profosa jednego z aresztów wojskowych na Środkowym Wschodzie. Powszechnie używany jest również termin „kanciapa".*

Opr. — *jeden z tak modnych w naszej epoce skrótów, oznaczających wybuch niezadowolenia władzy przy użyciu potoku mocnych, niecenzuralnych słów. Opr. nie pociąga za sobą plam na honorze.*

A więc proszę, z tak krótkiego tekstu wypisać trzeba było aż tyle słówek! Przecież po dwóch miesiącach studiów z angielskich książek wypisywałem już mniej nieznanych słów. Czy zatem istotnie nie należałoby już dziś napisać podręcznika, który umożliwił by badaczom przyszłości płynne czytanie epiki żołnierskiej polskich Afrykańczyków? What do you think about, George?

Mr.

Zawody Sportowe

W ramach święta 3 Maja i uroczystości połączenia przybyłych z Rosji dywizji polskich z Karpacką Brygadą odbyły się w obozie Q. zorganizowane przez jeden z pułków piechoty zawody sportowe.

Na boisko ściągnęły tłumy żołnierskiej braci. Nie rozdzielone już, jak przed południem na oficjalnym powitaniu, szeregami zwartych oddziałów, lecz tak — nie służbowo, pomieszane, połączone w serdecznej braterskiej atmosferze. Obok namiotów obszerny plac sportowy, środek zajmuje boisko piłki nożnej, z boków siatkówki i koszykówki, ponadto ring bokserski i 400 m. bieżnia ziemna.

Jest nawet trybuna, osłonięta przed słońcem płóciennym dachem; stoją namioty-bufety z napojami chłodzącymi; wszędzie ruch, gwarno, wesoło.

W zawodach uczestniczą jedynie oddziały przybyłe z Rosji. Brygada Karpacka, świeżo przybyła do obozu, jest tylko gościem i widzem.

Zawody otwiera defilada zawodników. Prowadzi organizator zawodów kpt. P. Zawodnicy maszerują trójkami przy dźwiękach doskonałej orkiestry. Piłkarze w barwnych kostiumach „made in Palestine". Dalej siatkarze, koszykarze, lekkoatleci. Pochód zamyka grupa bokserów. Od przesuwających się postaci bije tężyzna i temperament, których nie zdołały przytłumić przeżycia w Rosji Sowieckiej. Rozpoczyna się bieg 100 m. Pierwszy przerywa taśmę szer. K-cki (Łączność) w czasie 11.9. Drugim miejscem (czas 12.1) dzielą się kpr. W. (... P.P.) i szer. G. (Łączność).

Mecz siatkówki między dwoma pułkami piechoty. Wynik: 2:0. W drużynie zwycięzców wyróżnili się zawodnicy R. i Sz.

Na ringu bokserskim najładniejszą walką dnia było spotkanie w wadze półśredniej między strz. z c. D. a strz. Kr. Wynik nierozstrzygnięty. Humorystyczna walka „Dawida" z „Goliatem" kończy się efektownym knockoutem w drugiej rundzie po celnym sierpowym, jaki malutki och. B. ładuje w szczękę swego przeciwnika strz. D.

Kulminacyjnym punktem zawodów było spotkanie piłkarskie reprezentacji ...P.P. z drużyną kombinowaną Łączności i ...P.P., zakończone wynikiem 4:1 (2:0).

Wynik odzwierciedla na ogół przebieg spotkania, toczącego się przy silnej przewadze lepszej technicznie i dobrze zgranej drużyny ...P.P. Bramki dla zwycięzców strzelili: Ob. 2, Bur. 1, Rek. 1.

Sędziował kpt. K. z Brygady Karpackiej.

W drużynie zwycięskiej wyróżnili się: bramkarz Bezp. i pchor. Lor. w obronie, Weim. w pomocy oraz najlepszy na boisku Falk. Doskonale prowadził atak Bek. W drużynie przeciwnej należy wyróżnić obrońcę ppor. Sok., środkowego napastnika Smig. i lewo-skrzydłowego Koz. Gra, prowadzona czysto i fair, zjednała sobie uznanie widzów.

Sztafetę 4×100 wygrała drużyna Łączności.

Organizacja zawodów sprężysta.

W dniu 4 maja odbyło się przełożone z dnia poprzedniego spotkanie koszykówki między drużynami ... P. P. i Łączności, zakończone zwycięstwem ... P. P. w stosunku 30:8. Sędziował dobrze strz. Bur.

HUMOR

MOŻE POCZEKAĆ

Skazanemu na śmierć powiedziano w dniu wykonania wyroku, że może wybrać sobie dowolne potrawy na ostatni obiad, a wszystko zostanie mu dostarczone.

— Świetnie — powiada delikwent — proszę tylko o kilka dojrzałych brzoskwiń.

— Niestety, jest właśnie po sezonie i nie ma już brzoskwiń do nabycia — mówi zakłopotany strażnik.

— Nie szkodzi, ja mogę poczekać, aż dojrzeją nowe.

(*„When Tommy laughs"*.)

NIEPOROZUMIENIE

— Widzę, że się ożeniłeś.

— Mylisz się, tego guza nabiłem sobie w wypadku samochodowym.

(*„When Tommy laughs"*.)

OŚWIADCZYNY

On: Gdy wpatruję się w Twoje oczy — widzę Nil.

Ona: Czy z powodu — Niebieski?

On: Nie, z powodu .... katarakta.

(*Yatagan*)

JESZCZE JEDNA PRZEPOWIEDNIA

Jeden z naszych czytelników oglądał u pewnego emigranta z Niemiec kalendarz dla rolników p. t. „Hundertsjaehriger Bauer Kalender", wydany w Lipsku w roku 1895, który zawiera następującą przepowiednię:

W roku 1914 wybuchnie pierwsza wojna światowa i skończy się klęską Niemiec w r. 1918.

W roku 1933 dojdzie do władzy w Niemczech zły człowiek, który wpędzi Niemcy w nieszczęście.

Wywoła on drugą wojnę światową w roku 1939.

Wojna ta zakończy się w 1942 roku katastrofą Niemiec i zwycięstwem człowieka kulawego. (Prezydent Roosevelt — *red*).

ZAWIADOMIENIA SEKCJI O. I K.

SŁOWNIK POLSKO-ANGIELSKI STANISŁAWSKIEGO

Sekcja Ośw. i Kult. D-twa W.P.Ś.W. spodziewa się nadejścia w ciągu najbliższego miesiąca większej ilości dawno zamówionych słowników polsko-angielskich Stanisławskiego.

Prawdopodobnie będzie można zaspokoić wszystkie zgłoszone już do Sekcji O. i. K. zamówienia.

Sekcja prosi wszystkich, którzy zamówili słownik, a nie wpłacili dotychczas należności, o wpłacanie do dnia 25 maja b. r. kwoty 1½ F. P. O ile by po nadejściu transportu okazało się, że cena słownika wypadnie niższa, różnica będzie zwrócona.

Nie wpłacenie w podanym wyżej terminie należności będzie uważane za rezygnację z zamówienia.

Sekcja przyjmować będzie również nowe zamówienia do tego samego terminu.

WYCIECZKI

Celem ułatwienia oddziałom organizacji wycieczek po Palestynie Sekcja O. i K. przygotowuje zwięzły przewodnik po Palestynie, podobny do przewodnika wydanego w Egipcie. Cena przewodnika będzie bardzo niska.

Sekcja udzielać będzie również wszelkich wskazówek i pomocy przy organizowaniu wycieczek.

Projektowane jest zorganizowanie kilku wycieczek dla wyznaczonych przez oddziały osób, które przy następnych wycieczkach, organizowanych przez d-ców oddziałów, mogłyby pełnić funkcje przewodników.



Dziedziniec Wawelu